

I. PRZEGLĄD SYTUACJI STRATEGICZNEJ – ASPEKTY GLOBALNE I REGIONALNE

Obraz sytuacji międzynarodowej pozostaje nieczytelny. W ostatnich latach został zdominowany przez konfliktowość i zagrożenia wytwarzane w strefie od Morza Śródziemnego po Półwysep Koreański, a ostatnie miesiące nawet to wrażenie pogłębiły. Pojawiły się także obawy, że nieumiejętne reagowanie mocarstw na sytuację w tym obszarze może ją zaognić, a przynajmniej sprzyja przewlekaniu jej konfliktowości. Obawy wiążą się między innymi z możliwością nowego wyścigu zbrojeń, ekspansywną polityką USA, efektami rosnącej potęgi Chin, proliferacją broni masowego rażenia, napięciem na linii Zachód–świat islamu. Coraz liczniej pojawiają się głosy o nadciąganiu kolejnej wielkiej wojny. Być może można byłoby sobie pozwolić na ich lekceważenie, gdyby nie świadomość, że do niektórych wojen dochodziło dość „przypadkowo”, a przynajmniej ich uczestnicy nie zakładali takiego ich późniejszego przebiegu, jaki nastąpił w rzeczywistości. Taka była np. I wojna światowa. Amerykanie ogłosili zakończenie wojny w Iraku w sześć tygodni po rozpoczęciu inwazji, nie zdając sobie sprawy z tego, że prawdziwa wojna dopiero przed nimi. I zawsze ten sam brak wyobraźni i odpowiedzialności, i zawsze to samo infantylne przeświadczenie, że wszystko potoczy się zgodnie z „naszymi” planami, ponieważ zwyczajnie jesteśmy lepsi, a przynajmniej silniejsi. Opinie o głupiej kontestacji „dobrotliwego imperium” (przecież „jest ono niezbędne”) lub o wczesnej fazie III wojny światowej przesłaniały obraz świata i jego prawdziwych problemów. Utrudniały także dostrzeżenie wielu pozytywnych zjawisk, w tym wcale rozległych obszarów względnej stabilności, wzrostu i dążeń wielu narodów do poprawy swego bytu niezależnie od lęków wywoływanych przez tych, którzy snuli wizje globalnej hegemonii lub kreślili czarne scenariusze geopolitycznych gier na globalnej szachownicy.

AMERYKA POGRAŻA SIĘ W IRAKU

Doktrynalnym wstępem do amerykańskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa w 2006 roku było ogłoszenie w marcu **nowej strategii bezpieczeństwa narodowego USA**; będzie ona zapewne obowiązywać do końca drugiej kadencji prezydenta G.W. Busha. Jest to zasadniczo strategia kontynuacji, choć pozbawiona wielu butnych sformułowań, które straszyły społeczność międzynarodową w analogicznym tekście z września 2002 r. Brak powodzenia w Iraku (w marcu 2006 r. jeszcze nie

przyznawano się do fiaska) wymuszał pewną powściągliwość języka w porównaniu z poprzednim dokumentem. Co do istoty jest to jednak ta sama strategia. Jest to strategia czasu wojny, silnie ideologiczna, zakładająca możliwość ataków „wyprzedzających” oraz wyrażająca protekcyjną wyższość Stanów Zjednoczonych nad resztą świata. Pierwsze zdanie wprowadzenia prezydenta Busha brzmi: „**America is at war**”. I dalej: „To jest strategia bezpieczeństwa międzynarodowego czasu wojny. (...) Stany Zjednoczone znajdują się we wczesnych latach długiej walki...” Tę walkę porównuje się do zimnej wojny toczonej ze Związkiem Sowieckim i światowym komunizmem, a islamskich terrorystów do „nowej totalitarnej ideologii” (N. Podhoretz, a za nim prezydent Bush, mówi nawet o „islamofaszystym”). Ujawnia się w tym zarówno nieznamość historii, jak i ideologiczne myślenie autorów dokumentu. Potwierdza je zresztą tytuł i treść jego pierwszego rozdziału „Wspieranie aspiracji do ludzkiej godności”. Typowe strategie bezpieczeństwa nie zajmują się wszakże ludzką godnością, lecz bezpieczeństwem narodowym, a jeśli to czynią (werbalnie), to znaczy, że za tą ideologiczną deklaracją chcą ukryć jakieś mniej „ludzkie” intencje lub są instrumentem zaprowadzania jakiegoś idealnego ładu społecznego. Słowa *freedom* oraz *liberty* są i tutaj równie często obecne, jak „pokój” i „postęp” w doktrynalnych dokumentach państw i partii komunistycznych. Ameryka deklaruje w tej części *Strategii...* zwalczanie „tyranii” na całym świecie. Jest to zatem zapowiedź ofensywnej postawy. Strategicznym jądrem dokumentu jest rozdział poświęcony działaniom zmierzającym do „pokonania globalnego terroryzmu”. Problem w tym, że niczego takiego jak *global terrorism* zwyczajnie nie ma, a terroryzm, który Ameryka zwalcza, jest terroryzmem uderzającym w amerykańskie interesy na Bliskim Wschodzie. Waszyngton nie przejawia zresztą zainteresowania innymi rodzajami tego zjawiska. Fałszywe diagnozy prowadzą do fałszywych strategii, ponieważ, jak zaczęły to ujawniać rozmaite raporty w kolejnych miesiącach 2005 roku, sposób, w jaki Stany Zjednoczone „zwalczają terroryzm” w Iraku (i w dużej mierze w Afganistanie), nasila jedynie to zjawisko. Ponadto odpowiedzią na zagrożenie terrorystyczne ma być dalsza rozbudowa już najpotężniejszego arsenału USA, zwłaszcza arsenału rakietowo-nuklearnego oraz tzw. tarczy antyrakietowej. Tymczasem po 11 września nawet analfabeta wie, że broń rakietowo-nuklearna i próba utrwalenia hegemonii dzięki systemowi NMD nie jest adekwatną odpowiedzią na ten rodzaj zagrożeń.

Szczególnie niepokojącym postanowieniem omawianego dokumentu jest w tym kontekście **przypisanie sobie przez Waszyngton prawa do uderzeń wyprzedzających**. To „prawo” ma być monopolem Stanów Zjednoczonych. „Zasada i logika uderzeń wyprzedzających” została ujęta następująco: „nie wykluczamy użycia siły, zanim nastąpi atak, nawet jeśli nie ma pewności co do czasu i miejsca nieprzyjacielskiego ataku”. W innym miejscu powiada się zaś, że „żaden kraj nie powinien kiedykolwiek posłużyć się akcją wyprzedzającą jako pretekstem do agresji”. Przypomnijmy, że logika „preemption” posłużyła jako pretekst do ataku na Irak. Mamy tu zatem do czynienia z logiką Kalego w czystej postaci: „jeśli Ameryka atakować wyprzedzająco, to dobrze...” Tego rodzaju logiki i idącej za nią praktyki ma prawo obawiać się społeczność międzynarodowa. Jednak rezultatem nie będzie, jak

chciałby Waszyngton, posłuszeństwo innych, lecz ich zbrojenia, aby nie paść ofiarą amerykańskiej logiki Kalego, a dla innych mocarstw – branie przykładu z Ameryki w ich polityce „bezpieczeństwa” skierowanej na bezpośrednie sąsiedztwo. Rażąca właściwością tego dokumentu jest także jego pouczający ton w stosunku do innych państw, a nawet mocarstw. Waszyngton „wie lepiej”, co jest komu potrzebne i jaką politykę powinien ktoś inny prowadzić. Szczególnie groteskowe i pełne hipokryzji jest to w odniesieniu do Chin, kiedy np. autorzy dokumentu podpisanego przez prezydenta USA piszą, iż „our strategy seeks to encourage China to make right strategic choices for its people”, lub ostrzegają Pekin przed rozwojem współpracy z krajami bogatymi w surowce, lecz reprezentującymi niewłaściwy system czy styl rządów; Waszyngtonowi nigdy jakoś nie przeszkadzało utrzymywanie bliskich stosunków z krajami zasobnymi w surowce potrzebne amerykańskiemu przemysłowi. Strategia z marca 2006 r. deklaruje również kontynuację tzw. dyplomacji transformacyjnej (*transformational diplomacy*), jednak wiele sygnałów wskazywało, że Stany Zjednoczone już wtedy były w trakcie wycofywania się z tej koncepcji i praktyki, przede wszystkim pod wpływem złych doświadczeń z „szerszego Bliskiego Wschodu”. Przypomnijmy, iż celem tego rodzaju dyplomacji miało być instalowanie rządów demokratycznych (co Amerykanie utożsamiali z wyborami, niezależnie od tego, czy danym kraju były warunki, aby odbyły się one zgodnie z demokratycznymi standardami), które miały prowadzić „odpowiedzialną politykę zagraniczną”. Pod wpływem porażek w tym zakresie Waszyngton zrezygnował z wszelkiego realnego wsparcia dla praw człowieka w różnych krajach świata. Nic przeto dziwnego, że amerykańscy komentatorzy zarzucali tej strategii (i polityce administracji Busha) „kult wojny” jako środka na wszystkie problemy (James Carroll), niezwykle celna charakterystyka tego dokumentu wyszła zaś spod pióra Williama Pfaffa: „Ubóstwo intelektualne jest najbardziej uderzającą cechą nowej *Strategii Bezpieczeństwa Narodowego* administracji Busha. Jej ogólna niespójność, posługiwanie się *cliché* oraz frazeologią pełną stereotypów sprawia wrażenie, że Stephen Hadley, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, i wspomagający go autorzy tego dokumentu złożyli ją z bieżącego biurokratycznego żargonu, lekceważąc w ten sposób Kongres, do którego w pierwszej kolejności jest ona skierowana. W świetle tego dokumentu polityka zagraniczna administracji przedstawia się jako niestrawna mieszanina zdyskredytowanych idei neokonserwatywnych połączonych ze szczyptą neokissingerowskiej geopolityki”. Kissinger znalazł się w tym miejscu zapewne dlatego, że jako pierwszy poparł zawartą w tym dokumencie zasadę „preempcji”, a nawet uznał, iż może ona być podstawą systemu bezpieczeństwa międzynarodowego (pod warunkiem że USA będą miały monopol na jej stosowanie)¹!

Po 11 września mamy do czynienia z silnym zredukowaniem amerykańskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa do *global war on terror*, co w praktyce ozna-

¹ W. Pfaff, *If Bush ruled the world*, „International Herald Tribune” („IHT”) z 20 marca 2006 r.; J. Carroll, *Reject the war*, „IHT” z 19 grudnia 2006 r.; A. Bacevich, *Bush's illusions*, „IHT” z 22 grudnia 2006 r.; H. Kissinger, *Sila i dyplomacja*, „Rzeczpospolita” („Rz”) z 13–14 maja 2006 r.; R. Kuźniar, *Prymat ideologii nad strategią*, „Międzynarodowy Przegląd Polityczny” 2006, nr 4; J. Vaisse, *Etats-Unis: le temps de la diplomatie transformationnelle*, Cahier de Chaillot, nr 95, grudzień 2006.

cza wojnę w Iraku i Afganistanie. Kontynuowano to podejście w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy nie tylko w wymiarze doktrynalnym, ale także praktycznym. Koncentracja na konieczności odniesienia zwycięstwa w Iraku graniczyła z obsesją i uniemożliwiała Ameryce należyte zajmowanie się innymi ważnymi problemami międzynarodowymi. Wszystko, co było podejmowane w tej dziedzinie i co się tam działo, musiało mieć jakiś związek z wojną w Iraku i ogólnie wojennym usposobieniem tej administracji. Nie ukrywa tego Richard Armitage, do końca 2005 roku pierwszy zastępca sekretarza stanu, który powiedział, że po 11 września Ameryka przestała być „siłą dobra”, a zamiast tego „**zaczęliśmy eksportować złość i nienawiść**”. I dodawał: „upłynie sporo czasu, nim USA staną się znów siłą dobra na świecie”. Przejawiało się to m.in. w kontynuacji wyścigu zbrojeń. Rzecz nie tylko we wzroście gigantycznego budżetu na cele zbrojeniowe, który nadal stanowi połowę tego, co cały świat wydaje na ten cel (co oznacza, iż USA wydają na zbrojenia tyle, ile wszystkie pozostałe państwa świata razem wzięte). Chodzi również o dążenie do jakościowej przewagi Ameryki i otwieranie nowych obszarów wyścigu zbrojeń, w takich dziedzinach, w których Ameryka ma nadzieję utrzymać światowy monopol. Dotyczy to przede wszystkim militaryzacji przestrzeni kosmicznej. W październiku 2006 r. prezydent podpisał nowy dokument strategiczny, zgodnie z którym USA mają sobie zapewnić „swobodę działania w kosmosie” oraz uniemożliwić tym, których uznają za swych wrogów, wykorzystywanie kosmosu w sposób uznawany przez Waszyngton za sprzeczny z interesami USA. Stany Zjednoczone ogłosiły w ten sposób zamiar umieszczania broni w kosmosie, zbudowania naziemnego lasera niszczącego znajdujące się w przestrzeni kosmicznej obiekty należące do innych krajów, jak również oficjalnie sprzeciwiły się planom Organizacji Narodów Zjednoczonych zmierzającym do ustanowienia traktatu, który przewidywałby zakaz umieszczania broni w kosmosie. Dążenie do monopolu na militaryzację przestrzeni kosmicznej jest kolejnym przejawem strategii globalnej hegemonii strategicznej USA, która musi niepokoić innych i będzie ich zachęcać, w trosce o własne bezpieczeństwo, do niedopuszczenia do takiego monopolu. Ważnym elementem tego szerszego planu jest decyzja o rozpoczęciu budowy europejskiego komponentu tak zwanej tarczy antyrakietowej (NMD) oraz zwrócenie się Polski i Czech o wyrażenie zgody na budowę baz, stanowiących elementy systemu, na ich terenie. Jak wiadomo, celem NMD jest zapewnienie USA swobody operacyjnej w czasie ewentualnych działań zbrojnych podejmowanych w dowolnej części świata (szczelna osłona przed ewentualnymi uderzeniami odwetowymi państw, przeciwko którym USA prowadziłyby działania zbrojne). Instalacja tych baz zmierza do umocnienia bezpieczeństwa USA kosztem bezpieczeństwa ich sojuszników (zwłaszcza Polski, gdzie miałyby stacjonować wyrzutnia rakiet), te bazy bowiem (ich okolice) mogą stać się przedmiotem uderzeń odwetowych ze strony państw, które staną się obiektem amerykańskiego ataku („wyprzedzającego”)².

² R. Kim, *Kosmos tylko dla Ameryki*, „Dziennik” z 20 października 2006 r.; W. Marshall, *Star wars: The folly of weaponizing space*, „The Boston Globe” z 5 lipca 2006 r.

Negatywny wpływ irackiej obsesji na politykę zagraniczną USA był przedmiotem wielu analiz już wcześniej. W ostatnich miesiącach zwrócono uwagę na zmniejszenie zainteresowania czy wręcz rosnącą obojętność Stanów Zjednoczonych wobec sytuacji praw człowieka czy demokracji w krajach, które były w przeszłości obiektem amerykańskiej presji na tym tle. Pewnym *novum* była także konstatacja zmniejszania się wpływu i kontroli (politycznej) USA nad procesami globalizacji. Obserwatorzy ostatniego szczytu w Davos byli dość zgodni co do tego, że wprawdzie Stany Zjednoczone zachowują silną pozycję w tych procesach, zwłaszcza w sferze technologii, lecz **„globalization is no longer an American-led phenomenon”**. Zwraca przy tym niekiedy uwagę, że USA tym mniej się interesują społecznymi implikacjami globalizacji na świecie, tym bardziej są egoistyczne, im bardziej nieliczni bogaci stają się w samych Stanach Zjednoczonych. „Większość ludzi na świecie – pisał Jeffrey Sachs – łącznie z większością Amerykanów, nie zdaje sobie sprawy z tego, jak ogromnie bogaci stali się ludzie o superwysokich dochodach i jak nieproporcjonalnie duże korzyści odnosili oni w minionym dwudziestolecu z powodu zmian gospodarczych i zmian w systemie podatkowym”³. To, co jednak jeszcze bardziej martwiło wielu analityków w związku z wojnami, które toczyła Ameryka, to wpływ owych wojen na jej system wewnętrzny. Komentując wypowiedź G. Sorosa, John Gray pisał: „Owszem, zarzuca administracji pewne podobieństwo technik do totalitarnej propagandy i form zarządzania opinią publiczną. Nie pojmuje jednak sukcesów administracji w narzucaniu własnej wizji świata. Jak to możliwe? To jakby ludzie głośno domagali się, by ich oszukiwano”. Dalej zaś cytowany autor wskazuje na silny wpływ światopoglądu religijnego Busha i jego ekipy (chrześcijaństwo konserwatywne, millenaryzm, konserwatywni ewangelicy, neokonserwatyści pochodzenia żydowskiego) na amerykańską politykę i twierdzi, że jeśli ta ekipa upiera się przy swej polityce, to nie ze względu na nieznamość skutków, lecz właśnie dlatego, że „światopogląd rządzących kieruje ich w stronę iluzji”. To z tego powodu „polityka zagraniczna ekipy Busha okazała się prawdziwym szaleństwem, gdyż opiera się na wierze, która nie dopuszcza wskazywania i naprawiania pomyłek”. Gray pisze więc o USA jako o „demokracji autorytarnej”. Wielką burzę wywołał w USA opublikowany przez dwóch wybitnych badaczy stosunków międzynarodowych, Johna Mearsheimera i Stephena Walta (poza USA, bo w „London Review of Books”), artykuł na temat wpływu proizraelskiego, żydowskiego lobby (zorganizowanego w AIPAC) na politykę Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza po 11 września. Rzecz charakterystyczna, zarówno znaczna część społeczności żydowskiej w USA, jak i sami Izraelczycy uważają, że owo lobby, reprezentując jedynie nurt neokonserwatywny, szkodzi prawdziwym interesom Izraela. Niektórzy porównywali „wojnę z terrorem” prowadzoną przez Busha do wypraw wojennych starożytnego Rzymu, które psuły jego polityczne obyczaje i prawo, a w końcu doprowadziły imperium do ruiny. Porównywano charakterystyczne dla obu imperiów złamanie równowagi polegające na wzroście władzy egzekutywy kosztem roli i uprawnień obywateli.

³ N. Gardels, *America no longer owns globalization*, „IHT” z 25 stycznia 2007 r.; A. Hamzawy, M. McFaul, *Giving up on the 'liberty doctrine'*, „IHT” z 4 lipca 2006 r.; J. Sachs, *Co Ameryka może zrobić dla biednych*, „Gazeta Wyborcza” („GW”) z 29 kwietnia – 1 maja 2006 r.

Przeciwko takiej wersji imperium, jaką lansuje dzisiaj ekipa Busha, opowiadał się także Pierre Hassner: „Otóż dla samych siebie są zwolennikami absolutnej suwerenności, natomiast wobec innych prowadzą politykę interwencji. Uważają, że mają prawo najeżdżać na inne państwa, zatrzymywać ich przywódców, sądzić ich, więzić ich, a nawet skazywać obywateli innych krajów i wykonywać na nich wyroki. Ale gdy chodzi o ich własną niezależność – nikt, żaden inny sąd, żadne inne państwo nie mogą ich tknąć”. Amerykanie nie mają prawa do takich zachowań wobec innych, nawet jeśli na własny użytek nazywają swój imperializm „dobrotliwym”. Szczególne oburzenie wywoływały na świecie praktyki stosowane przez CIA i inne służby w tajnych więzieniach w Iraku, Afganistanie i w innych krajach⁴.

Wprawdzie wojnom prowadzonym przez USA już w przeszłości towarzyszyły przykłady ograniczania swobód, oskarżenia ich przeciwników o brak patriotyzmu czy okrywanie nadmierną tajemnicą poczynań władz i służb, lecz gdzieś od połowy 2006 roku zaczynał narastać coraz bardziej otwarty sprzeciw zarówno wobec sposobu prowadzenia wojny w Iraku przez administrację, jak i wobec traktowania przez nią swych krytyków. Przejawem powracania społeczeństwa USA do pewnej równowagi były listopadowe wybory do Kongresu, które przyniosły demokratom przewagę w obu izbach – Reprezentantów i w Senacie. Od tej pory możliwa stała się bardziej otwarta krytyka poczynań ekipy Busha. Krytyce poddano w pierwszej chwili neokonserwatystów, „których brak zdrowego rozsądku oraz wiedzy historycznej doprowadził w pierwszym rządzie do irackiej katastrofy” (Richard Gardner). Joseph Nye ogłosił wręcz zmierzch neokonserwatystów i wyrażał nadzieję, że „republikanie stopniowo powrócą do swojej tradycyjnej polityki. Czyli takiej, która w sprawach światowych opiera się przede wszystkim na realistycznej ocenie sytuacji”. Nie oznaczało to, że jako grupa neokonserwatyści zamierzali składać broń. Owszem, zmniejszyła się ich liczba w kierownictwie administracji, lecz ich przywódcy nadal domagali się prowadzenia agresywnej polityki wobec tych, których uznawali za przeciwników Ameryki, zwłaszcza wobec Iranu. Odrzucali realizm, który w ich ocenie oznaczał kapitulację Ameryki, rezygnację z walki o amerykańskie zasady i interesy na Bliskim Wschodzie (R. Kagan, W. Kristol). Swoją winą za iracką katastrofę chcieli się podzielić z innymi nurtami w amerykańskim myśleniu i życiu politycznym (także z tymi, którzy jak Cheney czy Rumsfeld zarabiają na wojnie, lub tymi, którzy jak sam prezydent Bush, preferują kowbojski styl w wymierzaniu sprawiedliwości). „Wojna poszła źle – pisał Richard Bernstein – Historia zapewne oceni ją jako tragiczną pomyłkę. Nie była ona jednak rezultatem jakiejś małej neokonserwatywnej konspiracji. Była czymś znacznie większym i na wiele sposobów bardziej typowym dla Ameryki niż tylko efektem neokonserwatywnych planów”⁵.

⁴ J. Gray, *USA, demokracja autorytarna*, „GW” z 30 września – 1 października 2006 r.; R. Harris, *The ‘war on terror’ that ruined Rome*, „IHT” z 2 października 2006 r.; D. Triest, *Więzienia CIA, metody wzięte z KGB*, „Rz” z 13 września 2006 r.; T. Zalewski, *Naciski i odciski*, „Polityka” z 24 czerwca 2006 r.; P. Hassner, *Imperium to za mało*, „GW” z 17–18 czerwca 2006 r.

⁵ E. Foner, *Ameryka nie jest niewinna*, „GW” z 30 grudnia 2006 – 1 stycznia 2007 r.; J. Nye, *Koniec neokonserwatystów*, wywiad J. Bieleckiego, „Rz” z 30 grudnia 2006 – 1 stycznia 2007 r.; R. Kagan, W. Kristol, *Ameryka kapituluje*, „Tygodnik Idei Europa” („Dziennik”) z 30 grudnia 2006 r.; R. Bernstein, *Should neocons in U.S. take the fall for Iraq?*, „IHT” z 18 grudnia 2006 r. Do odpowiedzialnych za wojnę w Iraku

Zapowiadany przez niektórych koniec „rewolucji Busha” następował jednak bardzo wolno⁶.

Porażka republikanów w wyborach do Kongresu i konieczność kohabitacji niekoniecznie będzie mieć wpływ na sposób prowadzenia wojny w Iraku (i Afganistanie), już wcześniej bowiem administracja zapewniła sobie wiele instrumentów samodzielnego decydowania o strategii irackiej i ograniczania nacisków ze strony Kongresu. Może tak być, mimo iż w końcu 2006 roku w Stanach Zjednoczonych zdano sobie sprawę z rozmiarów katastrofy. Stało się to przede wszystkim za sprawą raportu specjalnej grupy studyjnej (*The Iraq Study Group*) powołanej przez administrację Busha, w której znaleźli się przedstawiciele republikanów i demokratów, a której przewodzili **James Baker i Lee Hamilton**. Ogłoszony na początku grudnia 2006 roku dokument miał tę zaletę, że – jak napisała w swoim raporcie renomowana *International Crisis Group* – „opisuje z niezwykłą szczerością rozmiar irackiej katastrofy” i podkreśla „katastrofalny bilans amerykańskiej interwencji w sferze politycznej, bezpieczeństwa i gospodarczej”. Istotnie, lektura raportu jest wstrząsająca. Jego autorzy – dziesiątka wybitnych amerykańskich polityków, dyplomatów, ekspertów – piszą m.in., że w Iraku ginie miesięcznie przynajmniej trzy tysiące niewinnych osób cywilnych (liczba ofiar śmiertelnych od początku inwazji, jaka wynika z tego raportu, przekracza 200 tys. ludzi), że doszło do ogromnej dewastacji infrastruktury cywilnej, że służby takie jak opieka zdrowotna, dostawy elektryczności i wody, edukacja itp. są na znacznie gorszym poziomie niż przed inwazją, że kraj znajduje się w sytuacji, którą można uznać za otwartą wojnę domową. Najgorsze są powszechna przemoc i rosnąca śmiertelność. Ich głównymi przyczynami według raportu są: powstanie irackich sunnitów, aktywność szyickich milicji i szwadronów śmierci, Al-Kai'da oraz ogarniająca cały kraj przestępczość. Zasadniczym powodem niestabilności jest konflikt między sektami (religijny). Z każdym miesiącem rośnie liczba ataków przeciwko irackim siłom bezpieczeństwa. Rośnie także liczba zabitych żołnierzy amerykańskich. Na przykład w październiku 2006 r. zginęło ich 102 (najwięcej od stycznia 2005 r.). Dzieje się tak, mimo iż amerykańskie wojska okupacyjne odpowiedzialne za bezpieczeństwo w kraju liczą ponad 140 tys. żołnierzy, do czego należy dodać 16,5 tys. żołnierzy z liczącej 27 państw międzynarodowej koalicji wspierającej oraz ogromnej liczby prywatnych sił paramilitarnych (tzw. *private military companies* – PMCs), strzegących amerykańskich interesów gospodarczych w okupowanym Iraku. W samej ambasadzie USA w Bagdadzie, potężnej fortecy, pracuje około tysiąca amerykańskich funkcjonariuszy. Grupa Studyjna ds. Iraku uważa, że wojna w Iraku destabilizuje sytuację na Bliskim Wschodzie i ma szczególnie negatywny wpływ na perspektywy rozwiązania konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Przypomnijmy, że inicjatorzy wojny twierdzili, iż dzięki niej łatwiej będzie można doprowadzić do pokoju między Izraelem a Palestyną (narzucić go). Wojna w Iraku umocniła wreszcie pozycję Iranu, który dzięki niej uzyskał wpływ na bieg spraw w tym kraju (zwłaszcza na postawę szyickiej większości w Iraku). Bardzo

Bernstein zaliczył także C. Powella, który w sposób świadomie fałszywy (czego później żałował) przekonywał na forum RB NZ, że Husajn ma broń masowego rażenia i współpracuje z ibn Ladinem.

⁶ Ph.H. Gordon, *The end of the Bush revolution*, „Foreign Affairs” z lipca–sierpnia 2006.

dokładny i obejmujący wszechstronnie sytuację w Iraku i regionie raport jest cenny w warstwie diagnostycznej. Gorzej jest w warstwie rekomendacyjnej. Nie tylko dlatego, że brak jest dobrych rozwiązań dla katastrofalnej sytuacji w Iraku, lecz przede wszystkim dlatego, że – jak pisze *International Crisis Group* – „ta administracja dowiodła swej odporności na pragmatyczną zmianę”⁷. Grupa Bakera-Hamiltona stawia na posunięcia polityczno-dyplomatyczne, wciągające do rozwiązania konfliktu także Iran i Syrię oraz w różnym zakresie inne państwa regionu i całą społeczność międzynarodową, podczas gdy Bush i jego doradcy wołają rozwiązania siłowe. Obawy, że praca irackiej grupy studyjnej nie przypadnie do gustu administracji, szybko się potwierdziły. Prezydent zdecydował o wysłaniu do Iraku dodatkowych wojsk dla złamania różnych form oporu przeciwko amerykańskiej okupacji. Zapowiedziana od początku lutego 2007 r. kolejna „bitwa o Bagdad” zapowiada więcej ofiar, cierpień i zniszczeń, których od czasu amerykańskiej inwazji to miasto doświadcza w skali niespotykanej od czasu najazdów wojsk Tamerlana.

Już do tej pory liczba ofiar śmiertelnych w Iraku związanych z toczącą się tam wojną jest przerażająco wysoka. **Ogłoszony na początku października 2006 r. raport autorstwa grupy badawczej z Johns Hopkins Bloomberg School of Public Health mówi o 655 tys. ofiar wojny, w tym o 601 tys. ofiar przemocy związanej z wojną (większość zginęła od pocisków i bomb)**, z tego około 30% to wynik stosowania siły przez wojska kolacji okupującej Irak. Eksperci zaczęli mówić o konflikcie, który ociera się o granicę ludobójstwa. „Nawet jeśli te szacunki są zawyżone, to i tak liczba ta jest horrendalna”, pisał Timothy Garton Ash i dodawał: „**rozmiar naszej ponadczterdziestomiesięcznej okupacyjnej porażki zapiera dech. (...) Nie jest jeszcze za późno przyznać, że amerykańsko-brytyjska inwazja i okupacja Iraku okazała się największym strategicznym błędem naszych czasów.** Co mamy więc powiedzieć pogrążonym w żałobie rodzicom? «Wasz syn lub córka zginęli na próżno?»”. T.G. Ash przywołuje także obliczenie kosztów wojny poczynione przez Josepha Stiglitz, według którego całkowity ostateczny koszt wojny w Iraku ma wynieść 2 bln USD, tzn. „2 000 000 000 000 dolarów – 2 tys. dolarów na głowę każdego z miliarda najbiedniejszych ludzi na świecie, którzy umierają za mniej niż dolar dziennie”. Dla wielu, lecz nie dla samej administracji, szokiem był raport CIA potwierdzający ponad wszelką wątpliwość to, o czym rozsądni eksperci mówili już od dłuższego czasu: wojna w Iraku wzmaga terroryzm, a zwłaszcza zwiększa liczbę tych, którzy za pomocą aktów terroru chcą walczyć z USA (pojawiała się wręcz nowa generacja islamskiego radykalizmu)⁸. Jedynym pożytkiem z ujawnienia tego dramatycznego bilansu wojny i reakcji amerykańskiej opinii publicznej była dymisja jednego architektów tej wojny, przynajmniej pod względem strategiczno-operacyjnym, szefa Pentagonu Donalda Rumsfelda. Nie poniesie on jednak żadnej odpowiedzialności za rezultaty swej „pracy”, USA bowiem nie są stroną

⁷ *After Baker-Hamilton: What to do in Iraq*, International Crisis Group, Policy Report z 19 grudnia 2005 r. Notabene, grupa Bakera-Hamiltona zaprosiła do konsultacji kilkadziesiąt osób z zagranicy (dyplomatów, ekspertów, polityków), w tym nikogo z Polski. Takie potraktowanie wkładu Polski w rozwiązanie problemu irackiego nie wymaga komentarza.

⁸ M. Mazzetti, *War in Iraq is nurturing terrorists, study finds*, „IHT” z 25 września 2006 r.

statutu Międzynarodowego Trybunału Karnego. I chociaż grupa prawników i obrońców praw człowieka przedstawiła w Niemczech wniosek o postawienie Rumsfelda w stan oskarżenia za zbrodnie wojenne w Iraku, nie ma on szans w żadnym sądzie, gdyż żaden kraj nie zaryzykuje amerykańskiego odwetu. Rumsfeld nie jest Serbem ani Chorwatem⁹...

Świadomość tego, że „Ameryka nie wygrywa wojny w Iraku”, jak ujął to nowy szef Pentagonu Robert Gates, wywołała w Ameryce lawinę komentarzy i protestów, choć trudno przypuszczać, aby miały one większy wpływ na politykę administracji. W większym niż dotychczas stopniu dopuszczane były jednak głosy krytyczne. Pozwalali sobie na nie nawet przedstawiciele administracji. Najkrótszą autorecenzję irackiej wyprawy wypowiedział w październiku 2006 r. dyrektor Alberto Fernandez z Departmentu Stanu: „Jesteśmy świadkami klęski w Iraku. **Jest to nie tylko klęska USA, ale katastrofa dla całego regionu.** Staraliśmy się najlepiej jak potrafiliśmy, ale myślę, że są spore podstawy do krytycyzmu. **Bez żadnych wątpliwości USA wykazały się w Iraku głupotą i arogancją**”. Poufne memorandum wysłane przez ambasadora USA w Iraku do Condoleezy Rice opisuje sytuację owej ambasady jak oblężonej twierdzy w krainie bezprawia i religijnego ekstremizmu. Nawet prezydent G.W. Bush zgodził się, że sytuacja w Iraku zaczyna przypominać wojnę w Wietnamie. I. Wallerstein prorokował, że wycofanie się z Iraku będzie jeszcze bardziej traumatyczne niż ucieczka z Sajgonu w 1975 r. „Ta druzgocąca klęska po raz kolejny pokaże, że potęga USA ma swoje granice” – dodawał¹⁰. Poczucie klęski było wszechogarniające. Jedynym jego efektem okazało się poszukiwanie strategii powstrzymania katastrofy (*strategy for containing disaster*), której dotychczasowych skutków już nie można było odwrócić, a USA będą musiały przez lata tam pozostawać w celu uporządkowania chaosu (*to clean up the mess it had made*), który sprowadziły na ten kraj. Wzywano administrację do ograniczenia cierpień narodu irackiego i szkód ponoszonych przez jego sąsiadów. Wzywano Busha do uznania realiów, które polegały przede wszystkim na tym, że dla tej sytuacji nie ma rozwiązania militarne. Tej administracji dawano jednak małe szanse. W ocenie Nialla Fergusona „Irak jest problemem bez wyjścia”, gdyż „**mamy do czynienia z takim mistrzami surrealizmu**, że trudno ocenić, jak daleko trzeba się cofnąć, aby posprzątać ten bałagan”¹¹. Znakomitą rysunkową syntezą „sukcesu” USA w Iraku była karykatura przedstawiająca **amerykańskich żołnierzy, którzy na gruzach Iraku wbijają sztandar z wołaniem SOS**¹². Być może jedynym, długofalowym

⁹ *Mortality after the 2003 invasion of Iraq: Cross-sectional cluster sample survey*, „The Lancet” z 11 października 2006 r.; T.G. Ash, *Czy Irak umiera na próżno?*, „GW” z 28–29 października 2006 r.; M. Landler, *Rumsfeld faces war crimes suit in Germany*, „IHT” z 15 listopada 2006 r. Wniosek zawiera nazwiska kilkunastu osób z Pentagonu, oskarżanych o odpowiedzialność za zbrodnie wojenne w Iraku.

¹⁰ *Wstrząsający list z bagdadzkiej twierdzy*, „GW” z 22 czerwca 2006 r.; *Byliśmy w Iraku głupi i arogancy*, „GW” z 22 października 2006 r.; J. Bielecki, *Bush: w Iraku jak w Wietnamie*, „Rz” z 20 października 2006 r.; I. Wallerstein, *Stany Zjednoczone miotają się jak ranny słoń*, „Dziennik” z 18 października 2006 r.

¹¹ N. Ferguson, *Irak – problem bez wyjścia*, „Dziennik” z 4 grudnia 2006 r.; *Trying to contain disaster in Iraq*, „IHT” z 25 października 2006 r.; *Past time to get real on Iraq*, „IHT” z 10 stycznia 2007 r.; D.E. Sanger, *A massive failure of U.S. diplomacy*, „IHT” z 9 października 2006 r.

¹² W „IHT” z 8 grudnia 2006 r.

pożytkiem z irackiego doświadczenia będzie odejście od modelu armii, który był rezultatem sześcioletniego „ideologicznego dyktatu” Donalda Rumsfelda. Jak pisali amerykańscy eksperci, irackie doświadczenie prowadzi do „**odrzućcia „najbardziej katastrofalnej innowacji ery Rumsfelda.** Chodzi mianowicie o tę błędną koncepcję, zgodnie z którą wielkość i struktura amerykańskiej siły interwencyjnej powinna odpowiadać jedynie potrzebom pokonania zorganizowanej siły przeciwnika, bez brania pod uwagę potrzeby zapewnienia stabilności i bezpieczeństwa ludności cywilnej, za którą od tego momentu Stany Zjednoczone ponoszą odpowiedzialność”. Efektem powinno być m.in. przesunięcie środków z badań i zakupu najbardziej destrukcyjnych rodzajów broni i przeznaczenie ich na bardziej wszechstronne wyszkolenie większej liczby żołnierzy i służb pomocniczych. Niektórzy zaczynają mówić w tym kontekście o „kontrrewolucji w sprawach wojskowych” (jako swoistym przeciwieństwie do RMA). Naturalnie, nie chodzi o to, by zrezygnować z możliwości, jakie daje w tej sferze technologia, ale o to, aby zacząć postrzegać innego żołnierza nie jako jedynie *cybersoldier*, czyli takiego, który nie tyle musi odnieść klasyczne zwycięstwo, ile poradzić sobie z utrzymaniem stabilności na zajętej terenie w warunkach konfliktu asymetrycznego, co się zaś tyczy samej walki, nie tyle będzie skutecznie zabijał, ile zdobywał „dusze i umysły ludności cywilnej”¹³.

Być może najbardziej bezwzględna oceną amerykańskich „osiągnięć” w kontekście wojny irackiej wystawił administracji Busha prof. S. Walt z Uniwersytetu Harvarda. Klęski Busha na „szerszym Bliskim Wschodzie” (Irak, Iran, Liban, konflikt izraelsko-palestyński, wzrost radykalnych nastrojów antyamerykańskich, porażka prób demokratyzacji etc.) nie są jego zdaniem sprawą przypadku lub pecha. Doszło do nich dlatego, że „**polityka zagraniczna administracji Busha opiera się na głębokim niezrozumieniu (*deep misreading*) współczesnej polityki światowej**”. Pierwszym błędem było ignorowanie obaw świata przed prymatem Ameryki i celami, którym służyć miała jej siła. Drugim błędem było twierdzenie, że antyamerykanizm bierze się „on ‘what we are’ rather than ‘what we do’”. Wrogość wobec Ameryki nie wynikała z wrogości wobec jej wartości, lecz wobec jej polityki, twierdzi słusznie Walt. Po trzecie, Bush nie docenił oponentów Ameryki, sądząc, że są zbyt słabi, aby skutecznie się jej przeciwstawić. Jak się okazało, nawet mniejsze państwa znajdują wiele sposobów, aby stawić czoło sile USA. W rezultacie, ponieważ ekipa Busha przecenia siłę USA i nie rozumie, że nawet słabi mogą wybrać inne wyjście niż podporządkować się Ameryce, ona raczej woli dyktować, niż negocjować¹⁴. Mimo iż pod koniec 2006 roku nagromadziło się wiele przesłanek dla reorientacji amerykańskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa w kierunku większego realizmu i uwzględniania rzeczywistych problemów międzynarodowych oraz interesów innych państw, administracja prezydenta G.W. Busha nadal niewiele miała świata do zaoferowania. W dorocznym *State of the Union* 90% miejsca przeznaczonego na politykę zagraniczną zajęła wojna w Iraku, w tym przede wszystkim

¹³ *The kind of army America needs*, „IHT” z 20 listopada 2006 r.; *What the U.S. Army has learned in Iraq*, „IHT” z 27 listopada 2006 r.; B. Głowacki, W. Łuczak, R. Wilk, S. Zaloga, *Sprzątanie po Rumsfeldzie*, „Raport” 2007, nr 1.

¹⁴ S.M. Walt, *In White House, blunder after blunder*, „The Boston Globe” z 6 października 2006 r.

uzasadnienie jej kontynuacji aż do ostatecznego zwycięstwa, a wszystko to w niezmiennie Orwellowskim języku (o wartościach i wolności, o demokratycznym Iraku jako sojuszniku w walce z terroryzmem etc.). Zainfekowany neokonserwatywnym przesłaniem „więcej siły” prezydent USA nie przestawał wierzyć, że ona jest kluczem do sukcesu „amerykańskich wartości” na Bliskim Wschodzie¹⁵. Nowym, pozytywnym elementem jest żywa debata obejmująca nie tylko kręgi ekspertów i komentatorów, lecz także różne sektory establishmentu. Daje to szansę na przełamanie „irackiej obsesji” administracji USA i powrót tego mocarstwa do konstruktywnej roli w polityce światowej.

STREFA NIESTABILNOŚCI I NIEPOKOJU OD LIBANU DO KOREI

Jest rzeczywiście zadziwiające, jak wydarzenia i procesy, które zachodziły w 2006 roku na rozległym obszarze rozciągającym się od Libanu na zachodzie, przez Koreę Północną na wschodzie po Pakistan, stały się powodem do snucia bardzo pesymistycznych prognoz na temat nieodległej przyszłości świata. **Pojawiły się opinie, iż stoimy u progu wielkiej wojny**, której wybuchu nie tylko nie możemy powstrzymać, ale wręcz bierzemy udział w jej przygotowaniu. Wskazuje się na wiele powiązanych ze sobą przyczyn, które mogą w pewnym momencie dać efekt zapalnika wielkiego konfliktu. Wśród nich wymienia się „szaloną spiralę kapitalizmu wytwarzającą bogactwo, które coraz mniej jest reinwestowane w produkcję”, czego rezultatem jest rosące w niesłychanym tempie rozwarstwienie zarówno w wymiarze globalnym, jak i w ramach poszczególnych państw i społeczeństw. Następnie mówi się o problemie energetycznym i konfliktach na tym tle – zwłaszcza związanych z próbą militarnej kontroli nad światowymi zasobami ropy naftowej (głównie Bliski Wschód i Zatoka Perska). Podobnego charakteru zaczyna nabierać szerszy problem surowcowy i napięcia wynikające z dostępu do surowców, szczególnie w kontekście przyspieszonego rozwoju Chin, Indii oraz takich państw jak Brazylia czy Meksyk. Według niektórych ocen, na tym i nie tylko na tym tle zarysowuje się groźba konfliktu między Chinami a Zachodem. Z kolei wojna w Libanie, do której doszło latem 2006 r., to, według innych, wstęp do starć, jakie mogą wybuchnąć w nadchodzących latach na całym obszarze „Bliskiego Wschodu i szerszej Azji Zachodniej”, która staje się rodzajem jednolitej, geostrategicznej sceny, przede wszystkim z uwagi na ekspansjonizm USA. Jednoznacznie negatywnie, jako **destrukcyjną i konfliktogenną, ocenia się amerykańską promocję demokracji w tej strefie**. Zwraca się przy tym uwagę na nowe formy walki i konfliktu, właściwe dla całej tej strefy, a mianowicie rosnącą rolę pozapaństwowych ugrupowań zbrojnych, które reprezentują interesy szerszych grup społecznych. Jednocześnie owi partyzanci czy terroryści nie są związani z żadnym

¹⁵ R. Kagan, W. Kristol, *Więcej wojsk do Iraku*, „GW” z 25–26 listopada 2006 r.; R. Perle, neokonserwatywny „książe ciemności”, dowodził, że to Bush i jego ludzie „spartaczyli wojnę w Iraku, administracja okazała się niesprawna, siła militarna nie została tam użyta w wystarczającej intensywności dla zgniecenia przeciwnika. Przyznał zarazem, że gdyby mógł przewidzieć rozwój sytuacji, to nie rekomendowałby ataku na Irak. Wydarzenia po inwazji przerosły jego wyobrażenia” (D. Rose, *Neo Culpa*, „Vanity Fair”, styczeń 2007).

terytorium, którego trzeba bronić, nie ma określonego pola bitwy ani zdefiniowanych celów, które ewentualnie mogłyby podlegać negocjacji i być zaspokajane w ramach jakichś porozumień. Mamy zatem do czynienia z **deterytorializacją konfliktów na tym obszarze, co polega również na konfliktach *per procura*** (vide Hizb'ullah jako instrument Iranu w konflikcie z Izraelem za pośrednictwem Libanu). Cały ten obszar jest mieszanką problemów energetycznych, strategicznych, religijnych, ustrojowych, a jej zapalny charakter jest wzmagany amerykańskim ekspansjonizmem, który znajduje zbrojny wyraz pod prowokującym sztandarem „wojny z islamofaszyzmem” (N. Podhoretz). Były przewodniczący Kongresu USA Newt Gingrich nie waha się określić tej sytuacji jako „wczesnej fazy czegoś, co można nazwać III wojną światową”. Biorąc pod uwagę autora tych słów, można je z niepokojem nazwać samospełniającą się przepowiednią¹⁶.

Czymś zupełnie niezrozumiałym w tej zapalnej sytuacji była zbrojna interwencja Izraela w Libanie latem 2006 r. I chodzi nawet nie tyle o jej fakt, ile sposób przeprowadzenia.

Akcję Izraela przeciwko Libanowi można uznać za najprawdziwszą „dziwną wojnę”, jaka wydarzyła się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Oto bowiem pod raczej błahym pretekstem, którym było wzięcie przez Hizb'ullah do niewoli dwóch żołnierzy izraelskich (chciano ich wymienić za przebywające w izraelskich więzieniach kobiety i dzieci), Izrael zdecydował się na otwartą interwencję zbrojną przeciwko Libanowi. Wprawdzie operacja militarna była wymierzona przede wszystkim przeciwko zbrojnemu ramieniu Hizb'ullahu, a zwłaszcza magazynom broni i zlokalizowanym w południowej części Libanu wyrzutniom raket, lecz jej zasięg objął ponad połowę terytorium kraju. Jak na możliwości militarne Izraela była to wojna ograniczona, której efektem była jednak ogromna dewastacja infrastruktury cywilnej i znacząca liczba ofiar śmiertelnych, a to z uwagi na nieprzestrzeganie przez armię izraelską Konwencji Haskich i Genewskich. Po stronie libańskiej zginęło ponad 1200 osób – głównie cywile, po stronie izraelskiej – kilkadziesiąt osób; głównie żołnierze. Pod względem operacyjnym akcja Izraela była źle przygotowana i źle przeprowadzona. Co było ogromnym zaskoczeniem, zawiódł najlepszy na świecie wywiad izraelski. Mimo pełnego i bezwarunkowego poparcia Waszyngtonu i Londynu interwencja zakończyła się niepowodzeniem. Nie udało się odbić dwóch żołnierzy, których Hizb'ullah nadal chciał zwrócić po zakończeniu działań wojennych. Zdaniem prof. Adama D. Rotfelda „Izrael mógł zniszczyć Liban, ale nie osiągnął swego celu, jeśli jego zamiarem było zniszczenie Hizb'ullahu. Bo choć Hizb'ullah też ucierpiał, to szybko się odrodzi. Co więcej, w ciągu tej wojny Hizb'ullah zyskał autorytet międzynarodowy i w świecie arabskim jest postrzegany jako pierwsza siła, która była w stanie podjąć w pewnym sensie równorzędną walkę”¹⁷. Można powiedzieć, że Izrael strzelił sobie kosztownego gola samobójczego.

¹⁶ J.-Ch. Victor, Y. Lacoste, *Wojny tuż za rogiem*, „Forum” z 22 maja 2006 r.; D.L. Bosco, *Świat może nie obronić pokoju* oraz N. Ferguson, *Czy grozi nam III wojna?*, oba teksty w „Dzienniku” z 29–30 lipca 2006 r.; F. Halliday, *Nadchodzi wielka wojna*, „Tygodnik Idei Europa” z 2 lipca 2006 r.

¹⁷ *Wojna o pokój, rozmowa z prof. A.D. Rotfeldem* (rozmawiał M. Ostrowski), „Polityka” z 23 września 2006 r.

Zdaniem wielu (m.in. I. Wallersteina) była to tak samo pochopna interwencja jak atak USA na Irak. Nie tylko zakończyła się upokarzającym dla Izraela rozejmem, lecz także – jak pokazała wojna – jedyną metodą przetrwania tego państwa będzie ułożenie się z Hizb’ullahem i Hamasem, bo tylko te dwie organizacje są mu to w stanie zagwarantować. Ten konflikt dowiódł też rozżewu między zasadami a praktyką w postawie państw zachodnich, które, ilekroć wchodzi w grę ich strategiczne interesy, nie oglądają się (jak w Iraku i gdzie indziej) na prawo i wartości, jakie głoszą. Zdaniem obserwatorów wojna była przejawem nie tylko arogancji, ale również wiary w rację siły i możliwość narzucania siłą trwałych i sprawiedliwych rozwiązań. W jakimś sensie był to również gol samobójczy Zachodu, który wprawdzie pozostał wobec tego konfliktu podzielony, ale nie był w stanie powstrzymać Izraela, czego rezultatem było pogłębienie psychologiczno-politycznej przepaści oddzielającej Zachód od państw arabskich, bez żadnego tym razem pożytku dla bezpieczeństwa Izraela¹⁸.

W tym samym czasie w ramach konfliktu izraelsko-palestyńskiego odnotowano inne wydarzenia wpisujące się w powyższy schemat, źle służące pozycji Zachodu i samego Izraela, np. zbędne strategicznie i niehumanitarne blokady Strefy Gazy (w sierpniu 2006 r., w odwecie za jednego wziętego do niewoli żołnierza wojska izraelskie zabiły 184 Palestyńczyków)¹⁹. Całość tych wydarzeń i procesów była przejawem i zapowiedzią głębszych zmian zachodzących na Bliskim Wschodzie. Przewodniczący słynnej nowojorskiej Rady Spraw Zagranicznych Richard N. Haass twierdzi, że **skończył się czas dominacji USA na Bliskim Wschodzie i zaczęła się nowa era we współczesnej historii tego regionu**. Pojawiają się nowi uczestnicy i nowe siły, którzy będą walczyć o wpływy, i aby nad tym jakoś zapanować, Waszyngton będzie musiał w coraz większym stopniu polegać raczej na dyplomacji niż na sile militarnej. Stało się to za sprawą wojny w Iraku, wzmożenia aktywności terrorystycznej, wzrostu i utrwalenia nastrojów antyamerykańskich, słabości proamerykańskich reżimów, których zadaniem było powstrzymywanie islamskiego radykalizmu, załamania się bliskowschodniego procesu pokojowego z powodu unilateralizmu Izraela, a także procesów globalizacji, które sprzyjają fundamentalistom (dostęp do mediów, broni, pieniędzy, media pokazujące bombardowany Irak czy Liban, nieludzkie traktowanie ludności Gazy itp.). W rezultacie oprócz w dalszym ciągu wpływowych Stanów Zjednoczonych na bliskowschodnią scenę będą coraz śmielej wkraczać inni aktorzy: Rosja, Chiny, Iran, Hamas i Hizb’ullah. Iran może wejść w posiadanie broni nuklearnej, co grozi wojną, którą wywoła atak Izraela na ten kraj, będą rosnać ceny ropy, a jednocześnie postępować „militaryzacja” społeczeństw regionu (uzbrajanie się poszczególnych grup społecznych), islam będzie wypełniał przestrzeń intelektualno-polityczną, terroryzm pozostanie trwałą cechą regionu, reżimy państw arabskich będą nie tylko autorytarne, ale lecz także bardziej

¹⁸ I. Wallerstein, *Jak długo przetrwa Izrael?*, „Dziennik” z 4 sierpnia 2006 r.; B. Zadura, *Izrael rozlicza winnych*, „Dziennik” z 26–27 sierpnia 2006 r.; R. Kislev, *Wojna, dlaczego? Wojna, po co?*, „Rz” z 19 lipca 2006 r.; *Liban blaga o pomoc*, „GW” z 17 lipca 2006 r.; M. Mathiopoulos, *A dose of reality*, „IHT” z 13 października 2006 r.; M. Slackman, *Left in Lebanon: A million bomblets*, „IHT” z 6 października 2006 r.

¹⁹ P. Seale, *Israel’s scandalous siege of Gaza*, „IHT” z 28–29 października 2006 r.

religijne i antyamerykańskie, regionalne instytucje międzynarodowe pozostaną zbyt mało znaczące, aby mieć jakikolwiek poważny wpływ na procesy polityczne na Bliskim Wschodzie (przez porównanie do roli, jaką w Europie odegrała kiedyś KBWE czy WE). **Wszystko to zmusi Zachód do przemyślenia swojej polityki wobec regionu oraz powinno skłonić Stany Zjednoczone do porzucenia starych i kosztownych błędów (np. Irak), z których głównym było zbytne poleganie na sile militarnej** – uważa R. Haass²⁰.

Nuklearne ambicje Iranu budziły niepokój nie tylko w Waszyngtonie. Problemem były nie tyle ambicje, ile ostra retoryka Teheranu (zwłaszcza haniebne wypowiedzi prezydenta Ahmadineżada pod adresem Izraela), nieprzejrzystość programu nuklearnego oraz odmowa współpracy w tej sprawie z MAEA. Żadne próby nacisków na Iran, aby poniechał rozwoju swego programu, podejmowane przez USA, UE i ONZ, nie dawały rezultatu. Problemem było zatem nie tyle sedno sprawy, ile jej otoczek. Wszak Stany Zjednoczone zaakceptowały indyjski program nuklearny i nawet, ku zaniepokojeniu innych, rozpoczęły współpracę z tym krajem w sferze technologii nuklearnej, mimo początkowego sprzeciwu i sankcji wobec polityki faktów dokonanych prowadzonej przez Indie. Z Iranem sprawa wygląda inaczej. Decyduje o tym jego położenie, choć z perspektywy Teheranu jest ono znacznie trudniejsze niż wielu innych krajów w regionie, i to raczej Iran ma prawo czuć się zagrożony w swym bezpieczeństwie (wzięty w amerykańskie dwa ognie: wielkie operacje sił USA w Iraku i Afganistanie oraz ogromna koncentracja wojsk USA w Zatoce). Sytuację Iranu pogarszał fakt, że Waszyngton co jakiś czas powtarzał, iż w związku z programem nuklearnym tego kraju każda opcja jest możliwa, łącznie z atakiem zbrojnym kompletnie niszczącym Iran. Wpływ neokonserwatystów na politykę USA sprawiał, że **postawa Waszyngtonu wobec Iranu wyglądała na obsesję**, a wypowiedzi czołowych izraelskich polityków zapowiadających wojnę z Iranem potęgowały grozę możliwych konsekwencji tej obsesji. Atak Izraela na Iran i nieuchronne włączenie się USA do tej wojny mogłyby doprowadzić do wojny powszechnej na całym szerszym Bliskim Wschodzie. Za nieodpowiedzialną w tej sytuacji musi być uznana taktyka Waszyngtonu polegająca na odmowie wszelkich rozmów z Teheranem. Za takimi rozmowami opowiadał się sam Henry Kissinger. Inicjatywa powinna wyjść od silniejszego, ten jednak preferował dyktat zamiast rozmów, co przedłużało impas i podnosiło ryzyko wybuchu konfliktu. Wprawdzie perspektywa nuklearnego Iranu nie może nikogo cieszyć, ale warto dostrzec, że mimo wojowniczej, obliczonej na odstraszenie retoryki, realna polityka Iranu była powściągliwa. Należy również pamiętać, że irański program nuklearny rozwijał się opornie i będące wynikiem sankcji technologicznych błędy, awarie i opóźnienia ograniczały prawdopodobieństwo osiągnięcia w przewidywalnym terminie zdolności do produkcji wzbogaconego uranu, który mógłby posłużyć do budowy bomby. Ten czas dawał szansę na znalezienie dyplomatyczno-politycznych rozwiązań problemu, a zwłaszcza czas na taką zmianę polityczną w samym Iranie, która sprawi, że obecne obawy mogą stracić uzasadnienie. Taka zmiana mogłaby być w pewnym

²⁰ R.N. Haass, *The New Middle East*, „Diplomat”, październik 2006.

stopniu zasługą Zachodu, gdyby chciał zmienić podejście do problemu irańskiego z ultymatywnego na angażujące Teheran we współpracę i uwzględniające nie tylko zachodnie, lecz także irańskie potrzeby bezpieczeństwa²¹. Zachód musi wyjść z dogmatycznego ślepego zaułka i wykazać się większą elastycznością, ponieważ pod wpływem irańskiego przykładu kraje Zatoki skupione w swej Radzie Współpracy ogłosiły uruchomienie wspólnych badań nad rozwojem technologii nuklearnej.

Północnokoreański program nuklearny, z uwagi na jego wewnętrzny i międzynarodowy kontekst polityczny, stwarza nieporównanie większe zagrożenie. Zostało ono spotęgowane pierwszą próbną eksplozją nuklearną przeprowadzoną przez ten kraj na początku października 2006 r. (z pomiarów sejsmicznych wynikało, że był to ładunek małej mocy albo niezbyt udana próba). Jimmy Carter przypomina jednak, że nowa faza problemu nastąpiła od 2002 roku, kiedy Waszyngton ogłosił Koreę Północną krajem „osi zła” i zerwał z nią wszelkie kontakty, domagając się ultymatywnie porzucenia przez nią programu nuklearnego. W odpowiedzi Phenian wycofał się z NPT, a w świetle inwazji na Irak, w obawie przed powtórką tego scenariusza wobec swego kraju, zintensyfikował prace nad programem jądrowym. Reżim północnokoreański, w odróżnieniu od Iranu, jest totalitarny i nieludzki, jednak rozwiązanie siłowe nie wchodzi tu w grę (ze względu na zbyt duże koszty). Zdaniem Cartera, Waszyngton powinien dać Phenianowi to, czego ten się domaga, to znaczy zapewnienie, iż nie zostanie przeciwko niemu podjęta żadna operacja zbrojna, a następnie rozpocząć poważne rozmowy dwustronne. Jak zauważa James Baker, „rozmowy z naszymi nieprzyjaciółmi to jeszcze nie *appeasement*”. I w tym przypadku warto być konstruktywnym. Jeśli Korei Północnej uda się osiągnąć rzeczywiste zdolności nuklearne (tzn. pociski i środki przenoszenia), to nie da się powstrzymać Japonii przed pójściem w jej ślady (Tokio uczyniło już idące w tym kierunku aluzje)²².

Losing the good war, głosił tytuł artykułu w „International Herald Tribune” na temat wojny w Afganistanie. „**Afganistan miał być dobrą wojną**, i to wojną, którą Ameryka wygrywała. Jednak z powodu partactwa administracji Busha nawet dobra wojna szła źle”, pisano w artykule. Przypomnijmy, początkowo wojna w Afganistanie była nawet, i częściowo słusznie, określana „wojną sprawiedliwą”. W listopadzie 2006 r. w raporcie *International Crisis Group* znalazła się następująca ocena: „Pragnienie szybkiej i taniej wojny i następującego po niej szybkiego i taniego pokoju doprowadziło w Afganistanie do obecnej, coraz groźniejszej sytuacji”. To była oszczędnościowa interwencja, której towarzyszyły błędy w wykonaniu w pierwszej fazie operacji. Pojawienie się sojuszników w ramach spon-

²¹ S.C. Fairbanks, *Iran stał się straszakiem dla Stanów*, „Dziennik” z 5 września 2006 r.; H.A. Kissinger, *On negotiating with Teheran*, „IHT” z 23 listopada 2006 r.; R. Ignasiak, *Iran ma kłopoty z bombą*, „Dziennik” z 20–21 maja 2006 r.; *Wojna z Iranem jest nieunikniona*, z Efraimem Snehem rozmawia Tomasz Pomowski, „Dziennik” z 4 września 2006 r.; R.N. Haass, *Podwójny standard*, „Rz” z 23 maja 2006 r. O pewnym obłędzie, jaki zapanował w USA na punkcie Iranu, może też świadczyć wypowiedź R. Pipesa: „Nie musimy działać przez ONZ. Jeśli uznamy, że Ameryka jest zagrożona, możemy zbombardować Iran” (*Kompleks imperium*, wywiad przeprowadził D. Rosiak, „Rz” z 13–14 maja 2006 r.).

²² J. Carter, *Solving the Korean stalemate*, „The New York Times” z 11 października 2006 r.; M. Fackler, *Explosion likely to bolster new Japanese leader’s assertive policies*, „IHT” z 10 października 2006 r.

sorowanej przez ONZ operacji NATO nie poprawiło sytuacji. „Ich złe decyzje na terenie Afganistanu i wzdłuż granicy z Pakistanem miały ogromny wpływ na obecny kryzys”. Świadczyła o tym konieczność podwojenia kontyngentu NATO (decyzja podjęta jesienią 2006 r.). Podstawowym błędem było ponownie postawienie niemal wyłącznie na środki militarne, czyli na walkę z terrorystami i powstańczymi oddziałami talibów. Notabene, w tych walkach ginęło z rąk żołnierzy NATO bardzo dużo osób cywilnych. W minimalnym stopniu siły interwencyjne troszczyły się o odbudowę kraju zniszczonego wojnami (także interwencją USA z jesieni 2001 r.), o zapewnienie bezpieczeństwa ludności cywilnej, o dobrą administrację, o jakieś rudymenty gospodarki, która mogłaby dać pracę inną niż przy uprawie roślin stanowiących podstawę produkcji narkotyków. Za bardzo troszczono się o Kabul i wygląd premiera Karzaja, za mało o bezpieczeństwo i materialne przetrwanie całego kraju. Widząc brak postępu we wdrażaniu demokracji, państwa zachodnie straciły cierpliwość, odrzuciły żmudną drogę kompromisów i postanowiły siłą zrealizować swoją strategię; jak pisał były brytyjski dyplomata: „**ludzie Zachodu wykazują jednak słabe zrozumienie polityki afgańskiej czy irackiej i zanedbują na żołnierzach i pieniądzach dla rozwiązywania zasadniczo politycznych i religijnych problemów**”. Strategia militarna nie powiedzie się, pisał inny analityk, jeśli siły interwencyjne nie ustanowią sprawnego i uznawanego rządu na szczeblu lokalnym, dopiero wtedy bowiem zyskają poparcie ludności. Kabul nie jest ważny. „In Afghanistan, all politics is local”. Sytuacja jest rzeczywiście o tyle dramatyczna, że afgańska operacja wciąga niczym czarna dziura energię i środki NATO, a jej ewentualne niepowodzenie może mieć fatalne konsekwencje nie tylko dla Afganistanu, lecz także szersze, dla całego regionu. Najbardziej niebezpieczny dla Zachodu byłby upadek Pakistanu w sensie przejęcia tam władzy przez islamskich radykałów, których z najwyższym trudem (i nie bez koncesji na rzecz talibów) powstrzymuje wojskowy rząd Musharrafa. Przypomnijmy, Pakistan jest państwem, które wbrew USA wyposażyło się w broń nuklearną, a dzisiaj jest sojusznikiem USA i całego Zachodu w trudnej walce o utrzymanie stabilności w tamtym regionie świata²³.

Klamrą spinającą obszar konfliktów i niepokojów są od wschodu Chiny, o których można powiedzieć, że są ostoją stabilności i obliczalności w tamtej części świata. A jednak **zestrzelenie przez nie w styczniu 2007 roku własnego satelity** wywołało wielką konsternację i niemal histeryczne reakcje w Waszyngtonie. Był to prawdziwy cios w amerykańskie plany monopolistycznej, militarnej dominacji w kosmosie. Zdolność do zestrzeliwania satelitów oznacza zdolność do perforowania amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Azji oraz utrudnia naprowadzanie rakiet przeciwnika na cele w Chinach. Niezależnie od wymiaru strategicznego tego wydarzenia, było ono trafnie interpretowane jako **próba powstrzymania USA przed militaryzacją kosmosu i skłonienia Waszyngtonu do przyłączenia się do odpowiedzialnej konwencji ONZ w tej sprawie**. Symptomatyczna była odpowiedź amerykańskich środowisk analitycznych. „Jeśli na tym polega strategia Chin, to Pekin się

²³ *Losing the good war*, „IHT” z 5 grudnia 2006 r.; R. Stewart, *Even out here, all politics is local*, „IHT” z 14 lipca 2006 r.; S.G. Jones, *Afghanistan’s local insurgency*, „IHT” z 1 lutego 2007 r.; *Countering Afghanistan’s insurgency: no quick fixes*, International Crisis Group, Policy Report z 2 listopada 2006 r.

grubo pomylił”. Ameryka jest i pozostanie przeciwna negocjacom w sprawie demilitaryzacji kosmosu i krok Chin tylko ją w tym umocnił. Przypisując Chińczykom wszystkie najgorsze intencje, Waszyngton ogłosił: żadnych negocjacji w tej sprawie²⁴. Coraz większy niepokój w Waszyngtonie wzbudzał także stały wzrost siły gospodarczej Chin oraz wiążące się z tym umacnianie ich roli międzynarodowej, w tym różne przejawy ekspansji gospodarczej. Dość powszechnie stwierdzano, że głównym problemem chińskiego przywództwa jest utrzymywanie wewnętrznej stabilności, a istotą zewnętrznej strategii – unikanie konfliktów, w tym zwłaszcza nieprovokowanie Ameryki do jakichś bardziej zdecydowanych akcji w ramach polityki powstrzymywania, którą Waszyngton prowadzi wobec Państwa Środka. Przede wszystkim jednak Stany Zjednoczone w polityce Pekinu irytował i napawał niepokojem wzrost aktywności gospodarczej i politycznej w odniesieniu do Bliskiego Wschodu, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Było to oczywiste ze względu na rosnącą zależność gospodarki chińskiej od rynków zbytu i zaopatrzenia, zwłaszcza w surowce energetyczne i metale. Jak jednak zauważono w jednym z raportów (ogłoszonym przez National Defense University), „wiele krajów z tych regionów podziela zainteresowanie Chin odpieraniem amerykańskich wysiłków w sferze promowania demokracji i interweniowania w innych krajach”. Coraz powszechniejszy był pogląd, że jesteśmy świadkami **powstawania nowego dwubiegunowego świata – Chin vs. Ameryka**²⁵.



Próba strategicznej odpowiedzi Zachodu na konfliktowość, zagrożenia i geopolityczne zmiany w strefie od Libanu do Pacyfiku jest powolne **przekształcanie NATO w sojusz globalny**. Chodzi nie tylko o prawo i zdolność obecnego Sojuszu do prowadzenia różnego rodzaju operacji na tym obszarze, lecz także o włączenie we współpracę w tym zakresie kilku zachodnich lub prozachodnich państw wschodniej Azji i Pacyfiku. Chodzi przede wszystkim o Japonię (odpowiednie porozumienie zawarto w styczniu br.), Koreę Południową, Australię czy Nową Zelandię. Idea „globalnego NATO” budzi jednak wiele wątpliwości i nie wszystkie państwa członkowskie podzielają entuzjazm USA i Polski dla tego pomysłu. Oprócz obaw organizacyjno-techniczno-logistyczno-materialnych, związanych z różnymi aspektami syndromu *ovestretching*, istnieją poważne powody polityczne nakazujące ostrożność wobec otwartej, bezwarunkowej globalizacji Sojuszu. Sojusz nie może być postrzegany jako strategiczno-polityczny instrument dominacji Zachodu czy USA nad resztą świata, wtedy nie będzie miał bowiem wiarygodności do podejmowania operacji tam, gdzie są one konieczne, nie tylko ze względu na interesy Zachodu (np. w Afganistanie). NATO nie powinno provokować wrażenia, iż wpisuje się w globalną konfrontację *the West and the Rest*, i wywoływać niepokojów ze strony Chin czy innych państw, które już dzisiaj mają dość powodów, aby podejrzewać Zachód

²⁴ Ph. Bowring, *Beijing's satellite blast reverberates in Washington*, „IHT” z 22 stycznia 2006 r.; M. Levi, A. Segal, *One shot, many motives*, „IHT” z 26 stycznia 2007 r.

²⁵ Ph.C. Saunders, *China's Global Activism: Strategy, Drivers, and Tools*, INSS, NDU, Occasional Paper, październik 2006; R. Cohen, *The new bipolar world – China vs. America*, „IHT” z 22 listopada 2006 r.

o neoimperialne ambicje. NATO, jak trafnie zauważa François Heisbourg, „nie powinno się zachowywać jak rozwiązanie w poszukiwaniu problemu”. Już w tej chwili Sojusz jest przeciążony liczbą i różnorodnością prowadzonych misji i operacji. Charles Kupchan nie myli się, gdy pisze, że „globalne NATO byłoby nie tylko zanadto rozciągnięte (*overextended*), lecz także sparaliżowane przez różnice strategicznych interesów i perspektyw krajów członkowskich”. O ile zatem nie powinniśmy wykluczać incydentalnie operacji NATO podejmowanych daleko od jego zasięgu działania, o tyle nie należy dać się łatwo porwać pozornie wizjonerskim planom globalnego NATO, które najczęściej są formułowane w Stanach Zjednoczonych z bardzo oczywistego powodu: **Amerykanie dostrzegli ograniczenia własnej potęgi i chętnie by zaprzęgli do swej globalnej strategii Sojusz Atlantyki.** W trosce o Sojusz i nasze bezpieczeństwo trzeba preferować selektywne i uważne angażowanie NATO daleko od granic strefy z artykułu VI Traktatu Waszyngtońskiego. Doświadczenie afgańsko-irackie ma tę swoją dobrą stronę, że Waszyngton zaczął doceniać NATO i nieprędko będą się tam rodzić równie bzdurne pomysły jak *tool box* czy *missions define coalitions* bądź tezy, że rolą NATO jest zapewnić logistykę i legitymizację dla wypraw nie-świętego Jerzego przeciwko kolejnym smokom. Nie oznacza to jednak, że należy zareagować na ten przyływ uczuć Waszyngtonu w stosunku do NATO bezkrytyczną zgodą na „globalne NATO” na każdą okazję²⁶.

Powściągliwość w stosunku do wizji „globalnego Sojuszu” powinna być także dyktowana kłopotami, jakie NATO napotyka w swej operacji w Afganistanie. Rzecz nie tylko w tym, że dotąd ta operacja nie przebiega dobrze, że w jej toku ginie sporo żołnierzy państw członkowskich, że straty z rąk sił NATO ponosi ludność cywilna, ale także w tym, że państwa członkowskie nie kwapią się z desygnowaniem swych sił dla wzmocnienia kontyngentu Sojuszu w Afganistanie, że niektóre państwa nie chcą, aby ich żołnierze uczestniczyli w akcjach bojowych, że są kłopoty z jej finansowaniem i wyposażeniem. Jest tak dlatego, że część państw nie widzi związku między swym bezpieczeństwem czy mandatem Sojuszu a typem prowadzonej tam operacji, a także ma wątpliwości co do trafności strategii amerykańskiej, która okazała się destrukcyjna i nieskuteczna zarazem. Niektórzy eksperci, w Polsce np. gen. Stanisław Koziej, uważają, że zwiększanie formatu misji afgańskiej bez radykalnej zmiany strategii i bez nadziei na jej powodzenie zagraża wiarygodności NATO, a wręcz jest zwyczajnym psuciem Sojuszu (Afganistan staje się tym dla NATO, czym Czeczenia dla Rosji)²⁷.

Z tego punktu widzenia oraz ze względu na problemy, jakie Sojusz ma ze swoją tożsamością w tej fazie transformacji i zmian w środowisku strategicznym, za zupełnie udany można uznać ubiegłoroczny (28–29 listopada) szczyt NATO w Rydze – po raz pierwszy w historii zorganizowany na byłym terytorium sowieckim! Szczyt wprawdzie nie zapisał się w historii znaczącymi decyzjami politycznymi (zabrakło

²⁶ Ch.A. Kupchan, *How to keep NATO relevant*, „IHT” z 6 października 2006 r.; F. Heisbourg, *Why NATO must to be less ambitious*, „Financial Times” z 22 listopada 2005 r.; R. Holbrook, R. Asmus, *NATO musi działać globalnie*, „Dziennik” z 29 listopada 2006 r.

²⁷ S. Koziej, *Psucie NATO w Afganistanie*, „GW” z 9 października 2006 r.; L. Michel, *Operacja afgańska z ograniczoną odpowiedzialnością*, „Rz” z 27 listopada 2006 r.

np. zaproszenia dla nowych przyszłych członków), ale okazał się pretekstem do żywej dyskusji na temat roli NATO w polityce bezpieczeństwa państw członkowskich i szerzej w bezpieczeństwie międzynarodowym. Debata pokazała, że wbrew wyrażanym niekiedy poglądom NATO jest potrzebne i ma przed sobą dobrą przyszłość, pod warunkiem że rzeczywiście nikt nie będzie próbował robić z organizacji instrumentu mocarstwa-lidera i nie będzie ona służyć jednej, monopolistycznej wizji porządku międzynarodowego. Ryskie spotkanie przywódców Sojuszu miało także ważne znaczenie z punktu widzenia dalszej transformacji NATO i jej dostosowania do nowych, bardzo zróżnicowanych zadań: od zapewniania pokoju i bezpieczeństwa w swym otoczeniu (łącznie z operacjami użycia siły) po tak zwane *nation-building*. Potwierdzono całą listę szczegółowych rozstrzygnięć odnoszących się do uzbrojenia, logistyki, *power projection*, szybkiego reagowania, łącznie z pracami nad sojuszniczym systemem antyrakietowym. To właśnie na ten system, a nie na amerykański program NMD, powinna stawiać również Polska. Przywódcy NATO zasygnalizowali także konieczność zwrócenia wspólnej uwagi na sprawę bezpieczeństwa energetycznego. Co się tyczy przyszłego członkostwa, to zauważono postępy Albanii, Chorwacji i Macedonii i być może już w toku następnego szczytu (2008) zostanie wystosowane zaproszenie do członkostwa dla tych państw. Rozczarowaniem dla Sojuszu był natomiast rozwój stosunków z Rosją i Ukrainą, co znalazło odzwierciedlenie w dokumentach końcowych. Nie dokonano jednoznacznego doktrynalnego rozstrzygnięcia koncepcji „globalnego NATO”²⁸.

UE VS. ROSJA: TALLEYRAND NAPRZECIWKO PIOTRA I?

Wydarzenia i zjawiska, których sceną była w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy Unia Europejska, nie poddają się jednoznacznej ocenie. Były one też przedmiotem bardzo rozbieżnych ocen formułowanych przez polityków i obserwatorów. W sumie jednak zasadne wydaje się przeświadczenie, że Europa jako całość, której mniej czy bardziej uprawnionym polityczno-instytucjonalnym wyrazem jest UE, znajduje się w przeciągającym impasie, który można nazwać fazą poszukiwania odpowiedzi na stojące przed nią wyzwania. Słowo impas pasuje najbardziej do sprawy traktatu konstytucyjnego. Okres refleksji zarządzony po odrzuceniu traktatu w referendum we Francji i w Holandii wiosną 2005 r. został przedłużony w 2006 r. o kolejne dwa lata. Wielkie nadzieje wiąże się z niemiecką prezydencją (pierwsza połowa 2007 r.), lecz już jej pierwsze miesiące, mimo podejmowanych przez Berlin wysiłków, wskazują, że wyjście z konstytucyjnego impasu będzie bardzo trudne. Kraje, które ratyfikowały traktat – a jest to wyraźna większość członków UE – chcą, aby doprowadzić proces ratyfikacyjny do końca, na co nie zgadzają się te, które jeszcze tego nie uczyniły, a których rządy są przeciwne traktatowi w jego obecnej formie (zwłaszcza

²⁸ Aby zapoznać się z polską dyskusją na temat roli NATO w kontekście szczytu ryskiego, zob. m.in. numer „Spraw Międzynarodowych” poświęcony w całości temu zagadnieniu (jesień 2006) oraz bardzo dobry raport Forum Bezpieczeństwa Centrum Europejskiego Natolin, w: „Forum Natolińskie” 2006, nr 5; J. de Hoop Scheffer, *Kijów musi jeszcze poczekać* (wywiad przeprowadził A. Talaga), „Dziennik” z 24–25 czerwca 2006 r.

Polska). Nawet porzucenie traktatu nie stanowi rozwiązania problemu, ponieważ występują silne rozbieżności co do kształtu i zakresu nowego traktatu, który mógłby zastąpić niefortunny traktat konstytucyjny. Tak czy inaczej, przeważa pogląd, że nie należy oczekiwać jakiegoś rozstrzygnięcia w ciągu najbliższych dwóch lat, co z kolei uniemożliwia m.in. jakiegokolwiek decyzje w sprawie rozszerzenia UE o kolejne państwo (pierwsza w kolejce jest Chorwacja). Impas konstytucyjny jest częściowo związany z przedłużającym się kryzysem przywództwa w UE. W przeszłości, kiedy motorem Wspólnoty był tandem francusko-niemiecki, pojawiały się niekiedy krytyki tego „dyktatu” (choć we WE nikt nigdy nie był zmuszony nikomu ulegać), teraz zaś widać, że jakiś rodzaj przywództwa (politycznej inicjatywy i determinacji) jest Unii potrzebny. Wprawdzie dzięki świeżości i stanowczości przywództwa kanclerz Angeli Merkel Niemcy odzyskały wigor na scenie międzynarodowej, lecz z wielu względów nie są one w stanie same udźwignąć tego ciężaru. Francja jest całkowicie pochłonięta sprawą sukcesji po zaskakująco słabym w końcu swej drugiej kadencji Chiracu. Włochy Prodięgo i Hiszpania Zapatero stały się bardzo proeuropejskie, lecz biorąc pod uwagę format obu polityków oraz kruchą polityczną bazę ich rządów, ta proeuropejskość niczego nie wnosi do problemu europejskiego przywództwa²⁹. Największym rozczarowaniem jest całkowite wypalenie się „gwiazdy” Blaira. Silnie krytykowany za udział w wojnie z Irakiem oraz oskarżany o przyzwolenie dla praktyk korupcyjnych (m.in. handel stanowiskami w Izbie Lordów w zamian za finansowanie Partii Pracy), namawiany do ustąpienia, Tony Blair walczy z trudem o dotrwanie do dziesiątej rocznicy sprawowania funkcji premiera. Na scenie europejskiej stał się politykiem bez znaczenia. Stało się to w rok po porywającym przemówieniu otwierającym brytyjską prezydencję w UE i wielkich nadziejach z nią związanych. Jego los powinien być przestrożą dla tych obserwatorów i polityków, którzy nie umieją odróżnić płomiennej retoryki (Blair to istotnie najzdolniejszy *spin doctor* swej generacji) od prawdziwego przywództwa. Dla Polski z doświadczenia Wielkiej Brytanii pod rządami Blaira wynika jeszcze jeden wniosek (choć można niestety wątpić, czy zostanie on nad Wisłą zrozumiany). Chodzi o pustkę koncepcji „specjalnych stosunków” z USA Busha. Jeden z amerykańskich obserwatorów, komentując zawód, jakiego doznał Blair w swym uczuciu do Ameryki, pisał: „mimo swej gorącej lojalności i transatlantyckiego podziwu, **Blair nigdy tak naprawdę nie rozumiał Ameryki ani tego, jak mało on sam i jego kraj teraz znaczy w amerykańskich kalkulacjach**”. Przywódca brytyjskich konserwatystów David Cameron opowiedział się za „solidnym”, a nie „niewolniczym” przywiązaniem do stosunków przyjaźni z USA. „Nasza lojalność należy się naszym obywatelom i naszym koncepcjom na temat tego, co jest dobre dla świata. Nie służymy dobrze ani interesom Ameryki, ani naszym własnym, ani interesom świata, bezwarunkowo popierając każde amerykańskie zamierzenie” – mówił w swym programowym wystąpieniu na temat polityki zagranicznej we wrześniu 2006 r.³⁰

²⁹ C. Dougherty, *In Europe, Germany leads and France lags*, „IHT” z 3 stycznia 2007 r.; L. Caracciolo, *A teraz Włochy wracają do Europy*, „Dziennik” z 21 maja 2006 r.

³⁰ G. Wheatcroft, *So much for the 'special relationship'*, „The Boston Globe” z 6 grudnia 2006 r.; A. Cowell, *U.K. opposition chief slams Blair and Bush*, „IHT” z 12 września 2006 r.

Na scenie międzynarodowej Unia Europejska nie odniosła w ostatnim okresie ani spektakularnych sukcesów, ani nie poniosła znaczących porażek. Poprawiły się stosunki UE z USA, co było przede wszystkim efektem lekcji pokory, jaką otrzymała Ameryka w związku z wojną w Iraku, i zabiegami administracji Busha o wsparcie Europejczyków w Iraku, Afganistanie oraz wobec problemu irańskiego. **Kancelerz Merkel nie musiała się w tej sytuacji specjalnie starać, aby Niemcy odzyskały swą pozycję jako głównego partnera USA w Europie.** W dalszym ciągu Unia Europejska nie potrafiła zająć autonomicznej, a zarazem wpływowej postawy wobec konfliktu na Bliskim Wschodzie. Ujawniło się to szczególnie drastycznie w obliczu wojny w Libanie, w stosunku do której większość państw zachowywała się bojaźliwie (jedynie Blair udzielił pełnego poparcia izraelskiej operacji, co po raz kolejny okazało się jego błędem). W sferze Europejskiej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony (ESDP) pewnym sukcesem była druga już operacja ESDP w Kongo, którą niechętni roli UE w tej dziedzinie określili jednak jako „kosmetyczną”, oraz udział sił europejskich w nadzorowaniu trudnego rozejmu w południowym Libanie. Koncentracja ESDP na zadaniach stabilizacyjnych na Bałkanach, które ostatnio uchodzą za dość komfortowe (w połączeniu z brakiem entuzjazmu dla wysyłania wojsk do Afganistanu w ramach operacji NATO), była pretekstem do oskarżania państw UE o prezentowanie postheroicznej kultury strategicznej. Próbą wniesienia nowego impulsu do powolnego procesu tworzenia wiarygodnych zdolności strategicznych ESDP była propozycja utworzenia 100-tysięcznej armii europejskiej. Sugestia jednego z niemieckich polityków została następnie powtórzona w dwóch różnych wersjach przez premiera i prezydenta Polski. Klimat niemocy, który ogarnął UE po upadku traktatu konstytucyjnego, sprawił, iż ta propozycja nie spotkała się z żadnym pozytywnym odzewem wśród innych państw europejskich. Wprawdzie komentatorzy podkreślali wartość takiej ewentualnej armii z uwagi na osłabienie wiarygodności USA, lecz nikt nie wierzył, aby Europejczycy byli zdolni do takiego wysiłku. Wiele natomiast mówiono o szkodliwej rywalizacji między NATO a ESDP w sferze tworzenia zdolności i podziału zadań operacyjnych³¹.

Nieustająco poważnym problemem dla UE jest sprawa rozszerzenia. W złej atmosferze przebiegał początek negocjacji z Turcją, które formalnie uruchomiono pod koniec 2005 r. Ponieważ wiele państw UE jest przeciwnych członkostwu Turcji, każda, nawet drobna różnica stanowisk urasta do rangi dramatu, który rzutuje negatywnie nie tylko na same negocjacje akcesyjne, lecz także na stosunki dwustronne pomiędzy Turcją a UE. Zdrażnienia łatwo przeradzają się we frustrację i podnoszą temperaturę nieprzychylnych wypowiedzi po obu stronach. W obliczu obecnych i przyszłych kłopotów z Turcją doszło do usztywnienia ogólnego stosunku UE do dalszego rozszerzania. Unia stała się teraz bardziej selektywna w tym zakresie i będzie pod różnymi pozorami odkładać kolejne rozszerzenie. Przypadek Polski także odgrywa tutaj pewną rolę. W dalszym ciągu silne były jednak głosy ignorujące tak

³¹ Ch. Koch, *Europe should stop treating the Gulf as US backyard*, GRC, Commentary z 10 października 2006 r.; W. Pfaff, *Does Europe need an army?*, „IHT” z 11–12 listopada 2006 r.; B.T. Wieliński, *Euroarmia Kaczyńskiego*, „GW” z 3 listopada 2006 r. Zamieszanie wzbudził pomysł prezydenta L. Kaczyńskiego, aby europejska armia podlegała NATO.

zwaną **zdolność absorpcyjną** (*absorption capacity*) Unii i określające samo pojęcie jako politycznie niepoprawne (Carl Bildt). Naiwna koncepcja stabilizowania przez rozszerzenie, czyli szybkiego przyjmowania do UE państw Europy Wschodniej, Bałkanów i Turcji, doprowadziłaby do dezintegracji Unii, całkowitej zmiany jej charakteru i tożsamości oraz utraty walorów, które czynią ją atrakcyjną dla obecnych państw członkowskich, nie mówiąc o jej szerszej atrakcyjności międzynarodowej. Niektórzy próbują wyjść z tego dylematu, proponując utworzenie „europejskiego Commonwealthu”, czyli wspólnej przestrzeni łączącej kraje UE i obszar państw Europy Wschodniej aż po Kazachstan. Bardziej realistyczna na obecnym etapie wydaje się propozycja Charlesa Granta, aby nie obiecując członkostwa, włączyć kraje wschodniego sąsiedztwa w te dziedziny współpracy, które są one w stanie podjąć, zwłaszcza CFSP, i w ten sposób niejako oswajać je z innym spojrzeniem i polityką wobec reszty świata, uczyć je rozumienia europejskiej tożsamości wewnętrznej i międzynarodowej, a co za tym idzie, współodpowiedzialności za kształtowanie pewnej wizji Europy i świata, co mogłoby także stymulować pożądane przeobrażenia wewnątrz tych państw³². Obawy przed rozszerzeniem miały swoje silne tło w problemach, jakie nurtowały państwa UE w związku z integracją społeczności muzułmańskich zamieszkujących na ich terytorium. Islamskie wyzwanie dla tożsamości kulturowej i spójności społecznej Europy było tym silniejsze, że ona sama przeżywała regres demograficzny i nic nie wskazywało na zmianę tej sytuacji. Podobny skutek miały przemiany obyczajowe oraz zanik religijności w tym jej aspekcie, który miał znaczenie dla wiary w potrzebę zapewnienia sobie, swym narodom, wreszcie całej Europie witalności cywilizacyjnej. Antypapieska histeria, dla której pretekstem były znane słowa Benedykta XVI wypowiedziane w Ratyźbonie, dowiodła raz jeszcze, że wyznawcy islamu zamieszkujący Europę nie mają zamiaru poddawać się europejskim normom organizacji życia społecznego. O ile w kontaktach zewnętrznych z państwami islamskimi Europa radziła sobie zupełnie dobrze, o tyle pozostawała bezradna wobec wyzwania wewnętrznego. Znawcy problemu stawiali sprawę otwarcie: **„albo Europa zeuropeizuje muzułmanów, albo oni zislamizują Europę”**³³. Nieprawdziwy byłby jednak obraz Europy pozostającej w stagnacji bądź zupełnie nieradzącej sobie ze stojącymi przed nią wyzwaniami. Europa umie odnosić ważne sukcesy, choć nie czyni tego spektakularnie. Do bezspornych sukcesów Unii w ostatnich miesiącach należy utrwalenie się euro jako wiarygodnej i stabilnej waluty, co przejawiało się w wyprzedzeniu dolara w globalnych rozliczeniach handlowych (od niedawna w obiegu na świecie znajduje się więcej euro niż dolarów)³⁴. Sukcesem Unii Europejskiej stało się także zmuszenie USA i innych potęg gospodarczych do poważnej dyskusji nad zmianą klimatu, której przyczyną

³² J. Palmer, *Toward a European Commonwealth*, „IHT” z 24–25 czerwca 2006 r.; C. Bildt, *Open wide Europe's doors*, „IHT” z 8 listopada 2006 r.; Ch. Grant, *Europe must embrace its neighbours*, „Financial Times” z 12 grudnia 2006 r.

³³ Słowa prof. B. Tibiiego, „Rz” z 28 kwietnia 2006 r.; R. Buttiglione, *Zachód wygra z islamem*, „Dziennik” z 20 września 2006 r.; Ph. Bowering, *Who will replace us?*, „IHT” z 20 czerwca 2006 r.; J.M. Aznar, *Europa: kontynent ludzi bez wiary*, „GW” z 16 czerwca 2006 r.

³⁴ D. Pawłowska, R. Omachel, *Euro silne wbrew sceptykom*, „Dziennik” z 30 grudnia 2006 – 1 stycznia 2007 r.

jest działalność człowieka, i do podejmowania przez cały świat ograniczeń, które zahamują ten proces³⁵.

Głównym wyzwaniem dla Europy w latach 2006/2007 okazała się jednak Rosja. Ostatnie miesiące stały pod znakiem poważnego ochłodzenia i narastania trudności w stosunkach pomiędzy UE, a nawet szerzej, całym Zachodem a Rosją. Tym razem nie jest to zmiana tylko klimatyczna. Od słynnego spotkania Busha z Putinem (Lublana 2001), w czasie którego ten pierwszy ujrzał w oczach tego drugiego „duszę szczerego demokracji”, oraz od wspólnych pobytów Schrödera z Putinem w saunie do głośnego wystąpienia Putina w Monachium na początku tego roku minęła, mogłoby się zdawać, cała epoka. W całym tym okresie od Lublany do Monachium Zachód szukał klucza do należytego ułożenia stosunków z Rosją i rozwój wydarzeń w ostatnich miesiącach zdawał się pokazywać, że były to nieudane poszukiwania. Głównym, choć chyba powierzchownym, powodem tej zmiany stało się traktowanie przez Moskwę surowców energetycznych jako broni politycznej. Przejawiało się to m.in. w swoistej „politycznej nacjonalizacji” ropy i gazu (surowce narzędziem polityki państwa, niezależnie od tego, w czyich rękach się znajdują), odsunięciu zachodnich koncernów od zagospodarowywania złóż tych surowców na terenie Rosji mimo wcześniejszych promes i rozpoczętych już inwestycji (najgłośniejsze było usunięcie Shella ze złóż Stockmana), odmowie ratyfikacji podpisanej wcześniej przez Rosję Karty Energetycznej UE–Rosja, szantażowaniu Białorusi i Ukrainy przy użyciu instrumentu dostaw surowców (domaganie się ustępstw ekonomicznych lub politycznych pod groźbą odcięcia dostaw, a nawet ich ostrzegawczego, krótkotrwałego odcinania), przeznaczaniu znaczącej części dochodów pochodzących z eksportu tych surowców („petrodolarowa wydmuszka”) na cele zbrojeniowe, testowaniu możliwości utworzenia tzw. kartelu gazowego, aby wraz z innymi państwami eksporterami (głównie arabskimi) wywierać nacisk na importerów (głównie państwa zachodnie), próbach rozgrywania państw UE przez oferowanie niektórym z nich (zwłaszcza Niemcom) uprzywilejowanej roli w rosyjskiej strategii dostaw surowców energetycznych na Zachód³⁶.

Problem stosunków z Rosją jest jednak znacznie głębszy i wiąże się z **zaostreniem po stronie Rosji dylematu jej tożsamości**. Jak zauważają eksperci, kłopot Rosji z jej tożsamością polega na tym, że ten kraj nie może się zdecydować, czy chce być Europą, czy „nie-Europą”, czy chce być imperium, czy porzuca imperialne mrzonki, czy swoje bezpieczeństwo chce budować z Zachodem, czy przeciwko Zachodowi. Niektórzy uważają nawet, że fazę stawiania takich dylematów Rosja Putina ma już za sobą i że właśnie w tej chwili **Rosja opuszcza Zachód**. Wprawdzie sam prezydent Putin stara się przekonywać swych zachodnich partnerów, że „Rosja należy do Europy”, ale wyraźnie zarazem dystansuje się od europejskich wartości (eufemistycznie podkreślając ich różnorodność) i stawia na pierwszy plan współpra-

³⁵ J.M. Barroso, *Europa a klimat i energia*, „GW” z 14 listopada 2006 r.

³⁶ S. Popowski, *Petrodolarowa wydmuszka*, „Rz” z 18 lipca 2006 r.; M.I. Goldman, *Behold the energy superpower*, „IHT” z 11 października 2006 r.; P. Jendroszczyk, *Gazowa ofensywa Putina*, „Rz” z 11 października 2006 r.; D. Bilefsky, *Putin rejects EU demands that Russia ratify energy charter*, „IHT” z 20 października 2006 r.; S.L. Myers, *Russia consider gas cartel like OPEC*, „IHT” z 2 lutego 2007 r.

cę gospodarczą, branżową, otwartość UE na przemieszczanie się do niej obywateli Rosji itp. Moskwa wyraźnie przy tym ignoruje znaczenie przestrzegania zasad cywilizacji zachodniej dla opartego na zaufaniu podejścia Zachodu, w tym zwłaszcza Europy, do stosunków z Rosją. Obyczaje polityczne Rosji, których przejawem są m.in. mordy na wyraźnie politycznym tle (Politkowska, Litwinienko) czy straszenie Gruzji wojną za aresztowanie rosyjskich szpiegów, tworzą cywilizacyjną barierę, której nie przełamie żadne porozumienie o dostawach ropy czy gazu. Nie zmienia tego również formułowane często w Rosji zarzuty o tym, iż rzekomo Zachód zawiódł Rosję, wykorzystał bowiem jej przejściowe osłabienie po upadku ZSRR i rozszerzył swe wpływy, m.in. przez pospieszne rozszerzenie NATO i otoczenie Rosji siecią amerykańskich baz w Azji. Rosja nie zamierza dłużej tolerować tej sytuacji i stąd zmiana w jej podejściu do stosunków z Zachodem³⁷.

Wobec Władimira Putina wcielającego się w rolę Piotra I Unia Europejska uprawiała taktykę Talleyranda: wewnętrzną (jak wobec własnego despoty Napoleona) i zewnętrzną – stawiając przede wszystkim na dialog i dyplomację, która miała uświadomić Moskwie korzyści ze współzależności, powściągliwości i akceptacji europejskich reguł gry w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Jeśli sukcesy UE były na tym polu umiarkowane, to m.in. dlatego, że w pewnej mierze była ona w swym podejściu do Rosji podzielona, a także nie była jedynym ważnym partnerem Rosji w stosunkach międzynarodowych. Z jednej strony UE była przelicytowywana lub znajdowała się pod presją USA, z drugiej zaś Moskwa grała lub stwarzała pozory gry kartą chińską czy specjalnymi stosunkami z krajami takimi jak Iran, wobec których Zachód prowadził strategię powstrzymywania i zastraszenia. Postawa Europy wobec zwrotu w polityce Moskwy nie była spójna, a niejednorodne sygnały wysyłane z różnych europejskich stolic pozwalały Moskwie w pewnym zakresie na lawirowanie i utrzymywanie Europy w niepewności co do jej dalszego kursu. Europa, jeśli już można mówić o takim kolektywnym podmiocie polityki wobec Rosji, nie miała łatwych wyborów. Zdawała sobie sprawę, że tylko ona może się domagać od Rosji respektowania minimalnych standardów w zakresie praw człowieka, a zarazem miała świadomość ograniczonej skuteczności swego nacisku w tej sprawie. UE rozumiała, że w sprawie dostaw gazu i ropy Rosja także potrzebuje Europy, lecz komfort bezpieczeństwa energetycznego wymagał od Unii utrzymywania dobrych stosunków z Rosją. Europejczycy mieli też świadomość, że mimo gotowości do szantażu wobec Ukrainy czy Białorusi (we własnej strefie wpływu), poza tą strefą, to znaczy dla krajów UE, Rosja jest dostawcą nieporównanie bardziej stabilnym i przewidywalnym niż jakiegokolwiek inne państwo, a system demokracji autorytarnej i kapitalizmu państwowego („putinizm”) ową pewność dostaw gwarantuje znacznie lepiej niż rządy państw bliskowschodnich, afrykańskich czy latynoamerykańskich. Nie znaczy to bynajmniej, aby UE chciała zastosować się do zaskakujących słów prezydenta Chiraca wypowiedzianych na marginesie spotkania na szczycie w Lahti (UE–Rosja) o rzekomym braku powiązań pomiędzy

³⁷ D. Trenin, *Russia leaves the West*, „Foreign Affairs”, lipiec–sierpień 2006; W. Putin, *Rosja należy do Europy*, „Dziennik” z 22 listopada 2006 r.; S. Meller, *Wspólnota wartości musi objąć Wschód*, „Dziennik” z 24 maja 2006 r.; A. Grachev, *How the West let Moscow down*, „IHT” z 17–18 czerwca 2006 r.

wartościami moralnymi a interesami ekonomicznymi. Chłodne przyjęcie zgotowane Putinowi przez przywódców UE w trakcie tego szczytu było wyraźnym sygnałem oczekiwań wobec Rosji, a negatywna postawa kanclerz Merkel wobec podejmowanych przez Moskwę prób „wyłuskania” Niemiec ze wspólnego europejskiego frontu pokazała Putinowi granice skuteczności jego strategii. Stany Zjednoczone mogły sobie pozwolić na luksus o wiele bardziej asertywnej postawy wobec nowej polityki Rosji; ta nowa polityka była zresztą w dużym stopniu reakcją na amerykańskie ruchy w geostrategicznym otoczeniu Rosji. Chodzi o presję systemową, o poszukiwanie dostaw surowców strategicznych przez amerykańskie koncerny u granic Rosji, o aktywną obecność militarną USA wzdłuż jej południowej granicy (wojny w Iraku i Afganistanie oraz presja militarna na Iran) oraz wreszcie o plany dyslokacji elementów globalnego systemu antyrakietowego w Polsce (bazy z rakietami przechwytyjącymi). Ten ostatni element, nawet jeśli w danym momencie nie jest pomyślany jako skierowany wobec Rosji, jest czynnikiem zmieniającym sytuację geostrategiczną Rosji, co nieuchronnie musiało wywoływać nerwową reakcję, a co dało o sobie znać zarówno w słynnym wystąpieniu Putina w Monachium na początku lutego br., jak i w oświadczeniach rosyjskich dowódców wojskowych, zapowiadających kompensacyjne kroki równoważące (np. instalowanie nowych rakiet u granic Polski)³⁸. Abstrakcyjne i niezbyt kosztowne dla samych Amerykanów wezwania do stanowczości wobec Rosji nie mogły mieć żadnego znaczenia dla rzeczywistego problemu, jaki Europa (i Polska) ma z Rosją³⁹. W tej fazie budowy trudnego, lecz nieuchronnego partnerstwa i sąsiedztwa bardziej potrzebna jest postawa upartego Talleyranda niż rwącego się do zimnowojennych „rękoczynów” (jak to chciał jeden z polskich polityków) sienkiewiczowskiego zagończyka.

³⁸ Z. Parafianowicz, *Putin grozi Zachodowi*, „Dziennik” z 12 lutego 2006 r.; T. Bielecki, *Rosjanie grożą Polsce raketami*, „GW” z 16 lutego 2006 r.

³⁹ R.R. Amsterdam, *It's time for a long hard look at Russia*, „IHT” z 30 września 2006 r.; J. Edwards, J. Kemp, *We need to be tough with Russia*, „IHT” z 13 lipca 2006 r.; A. Applebaum, *Zachód chce od Rosji ropy, nie demokracji*, „Dziennik” z 7 lipca 2006 r.; J. Himmelreich, *Niemcy krytykują Kreml*, „Dziennik” z 16 października 2006 r.; B. Frumkin, *W Lahti Rosję spotkał chłód*, „Dziennik” z 23 października 2006 r.; A. Petrov, *If not the EU, then who?*, „IHT” z 26 listopada 2006 r.